# Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 5.

dnia 2. Stycznia 1880.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*"

TOM I.

Errare humanum est.

ROZDZIAŁ V.

PIERWSZE DNI W DOMU.

(*C. d.*) Starawieś, jak sama nazwa wskazuje, była osadą polską i należała do najdawniejszych w tej części Rusi Czerwonej. Ale mimo że jej mieszkańcy byli sami Czarneccy, Chrząszcze, Batogi i Koguty, mało czem różniła się od wsi ruskich. Jak tam, tak i tu chaty były kurne, bez kominów; dzieci bose i w podartych koszulinach biegały po drodze; nakoniec mowa była powszechnie ruska. Śladów dawniejszego pochodzenia należało chyba szukać w okazalszym wzroście jej mieszkańców, w dumnej mężczyzn postawie, nareszcie w łatwości, z jaką wszyscy po polsku się uczyli.

Zruszczenie, o ile się zdaje, nastąpiło głównie w skutek braku opieki rzymskiego duchowieństwa. Rzeczpospolita, będąc, jak wiadomo, państwem szlacheckiem, pamiętała przedewszystkiem o szlachcie, i dla tego to po kilku wiekach, cała szlachta ruska przeszła na obrządek łaciński i po rusku mówić przestała. Małe wyjątki stanowili tylko szlachcice na kresach, dokąd cywilizacja polska mniejszy miała przystęp. Przeciwnie wieśniaka Rzeczpospolita poruczała jedynie bożej opiece. Jeżeli tu lub owdzie na Rusi powstała osada polska, nie dawano jej natychmiast księdza rzymsko-katolickiego, tylko przydzielano ją do najbliższego miasteczka, w którem był kościół łaciński, — a które czasem leżało o trzy i cztery mile. Wieśniakom za daleko było chodzić do kościoła, księdzu łacińskiemu za daleko jeździć z Wijatykiem, a że w pobliżu był paroch unicki, więc ten powoli ściągał do swej owczarni polskie owieczki, dając im z pomiędzy Rusinów żony i zięciów.

Taki sam los spotkał Starąwieś, chociaż od Ludaczowa, gdzie jak wiemy był kościół łaciński, leżała ona ledwie o milę. Prócz dziesięciu, czy dwunastu rodzin, które dotąd były obrządku łacińskiego, wszystkie inne należały już do cerkwi unickiej i cała osada tylko po rusku rozmawiała.

Starawieś z przyległościami, co razem z lasami stanowiło 4.000 morgów w dobrej ziemi, była od trzech wieków własnością Gozdawitów, którzy z dawien dawna mieli sławę panów wyrozumiałych. Nie była to rodzina magnacka, w każdym jednak razie zamożna i dobrze skoligacona. Zniesienie pańszczyzny nastąpiło już za pana Władysława Gozdawy, który jako chłopiec ośmnastoletni, po ojcu zamordowanym w Rzezi tarnowskiej, odziedziczył Starąwieś i jeszcze dwa majątki na Mazurach położone. Opiekun, jakiś krewny daleki, upełnoletniwszy go w dwudziestym pierwszym roku, ożenił go z panną piękną, młodą, rozumną i dobrego rodu, poczem cały majątek w ręce mu oddał. Po dwóch latach żona umarła na słabość piersiową. Pan Władysław, mimo że był młodziutkim wdowczykiem, nie chciał się więcej żenić i stale na wsi zamieszkał. Co do gospodarstwa, to byłoby może szło nie źle, gdyby nie ta smutna okoliczność, że wydatki nie zostawały nigdy z dochodami we właściwym stosunku. Jeżeli dochody sięgały naprzykład wysokości małego palca, wydatki dochodziły z pewnością do wysokości palca wskazującego.

Ryszard nie wiedział dokładnie jak rzeczy stoją, ale mężczyzna z jego rozumem nie potrzebował mieć wszystkiego na dłoni, żeby domyśleć się smutnej prawdy. Prócz tego w pierwszych zaraz dniach po przyjeździe do domu ojca, musiały go uderzyć wielkie niedostatki w gospodarstwie. Inwentarze były zaniedbane i nie dość liczne; urodzaj w polu mimo pięknej ziemi nieszczególny; budynki opuszczone; lasy prawie w pień wycięte. Chociaż sam nie był gospodarzem, miał na tyle zdrowego rozsądku, że pojął co to wszystko znaczy. Wszakże jako syn szczerze przywiązany, przed ojcem ani jednem słowem obaw swoich nie zdradził. I byłby milczał nie wiedzieć jak długo, gdyby sam ojciec nie był raz do niego w te słowa przemówił:

— I cóż sercuńciu, jakże ci się podoba w Starejwsi?

— Przecie ojciec wie, że mi tu najprzyjemniej

— Wiem, wiem, mosterdzieju, ale nie o to cię pytałem. Ja chciałbym usłyszeć, jak znalazłeś gospodarstwo, zasiewy... Prawda że śliczne?

— Zdaje mi się że dobre... Tylko to żyto od granicy ludaczowskiej jakieś rzadkie i nikłe.

— Wymokło... tej zimy mieliśmy dużo śniegu, a prócz tego mosterdzieju i nasienie nie było dobre. Ale wszystkiemu winien ekonom! Gałgan nie dopilnował i z plewą posiali.

— Co do kukurydzy, ta wygląda jakby zrąb w lesie. Ledwie gdzie niegdze nasiennik.

— Prawda? Ja to zaraz sercuńciu mówiłem, że tak będzie. Ale jakie ty masz oko doskonałe! Ani byłbym przypuścił, że uczony może w gospodarstwie tak prędko się zorjentować. Wyobraź sobie sercuniu, co się stało z tą kukurydzą. Jak ją tylko zasadzili, a kawałek mosterdzieju nie lada, cztery ryzy i pół, w świeżej mierzwie, zaraz się o tem indyki dowiedziały, a jest ci ich łaska boża, blisko dwieście, bo przecie bez drobiu człowiek nie obejdzie się na wsi; otóż sercuńciu, jak tylko zobaczyły gdzie kukurydza, zaczęły codzień do dnia wykradać się przez sad dziurą w płocie i cały tydzień w polu buszowały. Teraz mosterdzieju ledwie tu i owdzie jakieś ziarno zeszło. Ale wszystkiemu winna baba, która ma doglądać indyków, no i polowy. Jakem się o tem dowiedział, omałom się z irytacji nie rozchorował, i powiedziałem tym gałganom, że jak mi się to raz jeszcze powtórzy, wypędzę ich mosterdzieju na cztery wiatry. Pół piętej ryzy kukurydzy sercuńciu to nie żarty! A teraz co będzie? Ledwie na ordynarję i dla drobiu!

Syn ośmielony że mu ojciec dwa razy przyznał słuszność, zrobił nową uwagę:

— Pszenica pod krzyżem, także mi dobrze nie wygląda.

— Co, pszenica sercuniu? — zapytał ojciec o krok się cofając. — Ciekawym czy pod słońcem jest lepsza mosterdzieju! Wszak to pszenica jak mur! Jak widzę mój Rysiu, nie będzie z ciebie dobry gospodarz, kiedy na takiej pszenicy nie umiałeś się poznać. Dam gardło mosterdzieju, że będę miał najmniej tysiąc korcy, a może i więcej.

— Dałby Bóg — syn wtrącił — lecz mnie się zdawało, że w niej za wiele śniedzi i kłosów pustych.

— Banialuki sercuniu, banialuki! Chciałbym widzieć taką pszenicę, której nic nie brakuje... taka chyba w niebie się rodzi. Ale że moja doskonała mosterdzieju, najlepiej może cię to przekonać, iż Stern ofiarował mi na nią ośm tysięcy zaliczki. Słyszysz sercuniu, ośm tysięcy! Jeżeli kto, to Stern ma oko doskonałe i wie ile jej będzie.

— Ale Stern stawia zapewne równocześnie jakieś warunki, mianowicie, że jeżeli do tego i tego dnia tyle a tyle korcy nie odbierze, sprzedający, tytułem odszkodowania, będzie mu musiał zapłacić kwotę znaczniejszą.

— Ma się rozumieć sercuniu, bo przecie na całym świecie są takie zwyczaje. Trudno żądać od kupca, żeby się nie zapewniał.

— I ojciec przystał już na jego propozycję?

— Jeszcze nie, bo warunki mosterdzieju trochę za twarde... ale w końcu zrobi się... on trochę podstąpi, ja sercuńciu pofolguję i będzie dobrze.

— A może jeszcze lepiej będzie, jeźli ojciec tego interesu całkiem nie zrobi. O ile wiem, nikt na tem dobrze nie wyszedł, jeżeli żyto na pniu sprzedał.

— Może i racja sercuńciu, lecz co robić? Pieniędzy potrzeba... Dawniej była gotówka, najpierw z tych majątków na Mazurach, które doskonale sprzedałem — mosterdzieju Niemiec orżnął się i do trzech lat poszedł z torbami — potem przyszła indemnizacja za pańszczyznę, ośmdziesiąt tysięcy jak lodu! a w ostatnich latach wziąłem bank, no i lasu trochę się wypłukało. Była więc gotówka, była sercuńciu, lecz cóż kiedy pieniądz okrągły, toczy się jak szalony i ani się postrzeżesz, kiedy go nie ma. A tu wydatki zamiast

zmniejszać się, raczej się pomnażają i co rok większa drożyzna. Bodaj tego Bismarka!

— Co, Bismark temu winien?

— A któżby inny, mosterdzieju, jeżeli nie on! Zachciało mu się wojny z Francuzami, zabrał im dwie prowincje i miljardy, za co potem mieliśmy „krach“ na którym sama Austrja straciła 800 miljonów jak jeden grosz — jeżeli chcesz sercuńciu pokażę ci to czarne na białem — a teraz znowu wszystkie państwa zbroją się, żeby być w pogotowiu wojennem. Jeżeli na dobitek będziemy mieli wojnę na Wschodzie, na którą się zanosi, zbankrutujemy wszyscy mosterdzieju!

Chociaż Ryszard żadną miarą nie mógł zrozumieć, jaki logiczny związek zachodzi między stosunkami politecznemi, a ruiną ojca, która, jak to z jego własnych słów łatwo mógł wywnioskować, większą była, niż dotąd przypuszczał, mimo to słuchał go nieprzerywając, i ani oczu ku niemu nie podniósł, żeby go przypadkiem nie spłoszyć i z drogi nie zwrócić.

Pan Władysław gdy raz wpadł w forwor, mówił prędko i dobrze, a jeźli mu się tylko nikt nie sprzeciwiał, wynurzał się do głębi. Zadowolony, że syn słucha go uważnie, tak dalej mówił:

— Źle sercuńciu, źle, i gdyby nie poczciwy Stern, który w potrzebie zawsze mnie bezinteresownie wspiera, doprawdy nie wiedziałbym czasem, jak końce związać. Ale to mosterdzieju człowiek jakich mało.

— Niech ojciec daruje, że osmielę się tu zrobić krótką uwagę. Stern jeżeli co robi, robi dla własnego dobra, gdyż to żyd.

— Prawda że żyd, mosterdzieju, ale żyd żydowi nie równy. Ja sam żydów na przechód nie cierpię, wszelako dla takich jak Stern, muszę mieć szacunek. To człowiek z honorem, z sercem, pełen szlachetności. Daj Boże żebyśmy takich więcej mieli.

— Czy kochany ojcze nie zrobiłeś dotąd jednego spostrzeżenia? Oto każdy szlachcic żydów nie lubi, każdy nazywa ich pijawkami i klęską kraju, a równocześnie każdy ma jeźli nie kilku, to przynajmniej jednego takiego, o którym utrzymuje, że to żyd wyjątkowy, lepszy niż wszyscy inni? A z kąd to pochodzi? Oto ten jeden, poznawszy lepiej niż ktokolwiek inny nawyknienia, kaprysy nareszcie błędy szlachcica, stara się go pod każdym względem zadowolić, z uśmiechem policzki odbiera, nie gniewa się gdy go za drzwi wyrzucają, schlebia jego miłości własnej, słowem gra zręcznie rolę bezpłatnego dworzanina, który niczem się nie obraża, a zawsze służy. Szlachta, przyzwyczajona do panowania, lubi takich dobrowolnych niewolników...

Ojciec słuchał z najwyższem zajęciem. Nareszcie gdy syn przestał, zapytał:

— Może to i prawda Rysiu... lecz powiedz mi sercunciu, gdzieś miał sposobność tak dobrze żydów poznać? Do kraju przyjeżdżałeś od lat ośmiu tylko na wakacje, a na Zachodzie przecie tych drabów nie ma tyle co u nas.

— Mój ojcze, aby żydów poznać, nie potrzeba razem z nimi długo mieszkać... ich postępowanie zanadto w oczy bije. W kraju miałem zatem dosyć sposobności z bliska im się przypatrzeć, wszakże jeżeli mam prawdę wyznać, groźny ich charakter poznałem dopiero w Niemczech, gdzie sprawa żydowska jest teraz na porządku dziennym. Przez cały czas mojego pobytu w uniwersytecie lipskim, badałem ją z całą bezstronnością i sumiennością, przeczytałem wszystko co o niej napisali ludzie poważni rozmaitych obozów i przekonań, to też śmiało mogę powiedzieć, że ją rozumiem.

— Jeźli ją zatem rozumiesz, powiedz mi sercuńciu, do jakiej konkluzji doszedłeś?

— Że rasa semicka jest wrogiem rasy europejskiej, a duch semicki zabójczym dla naszej cywilizacji.

— Ej! mosterdzieju ty bo zaczynasz zaraz filozofować. Jabym raczej chciał sercunciu, żebyś mi tak powiedział prosto z mosta co o żydach sądzisz?

— Że są naszymi nieprzyjaciołmi, i dla tego jak z jednej strony należy się ich wystrzegać, tak znowu z drugiej strony powinniśmy się sami łączyć, żeby ich sile przeciwstawić naszą siłę.

— Ja zaś sercunciu, jeszcze jedno dodam: Oto tych z pomiędzy żydów, którzy się do nas garną, powinniśmy przytulać, aby ich zrobić Polakami. Niedawno *Teraźniejszość* napisała artykuł w tym duchu. Warto mu dać buzi mosterdzieju, jaki znakomity! To, coś ty mówił o żydach, możnaby naprzykład zastosować do mojego pachciarza, bo to sztuka brudna, chciwa i nikczemna, ale już arendarz, Moszko, wcale inny człowiek sercunciu, a cóż dopiero Stern! To nie żyd, to patrjota polski! W domu u niego po polsku, z władzami koresponduje tylko po polsku, a ponieważ w tym

języku sam jeszcze biegle nie pisze, więc mosterdzieju trzyma sobie sekretarza katolika; ze szlachtą żyje jak najlepiej, za zboże płaci gotówką, nawet zaliczki daje, a o celach dobroczynnych sorcunciu także nie zapomina. Niedawno temu dał znaczniejszą kwotę na książki biednym studentom z Ludaczowa, *Teraźniejszość* umieściła o tem śliczny artykuł, stawiając Sterna na wzór nie tylko żydom nawet chrześcijanom, i Bogiem a prawdą mosterdzieju, pochwała była całkiem sprawiedliwa. Mów co chcesz, ja ci powtarzam, że takich jak Stern...

— Najbardziej należy się wystrzegać — przerwał młody człowiek.

— Panie Ryszardzie! — zawołał ojciec surowo. — Zdaje mi się, że wiem co mówię mosterdzieju, i twoich uwag nie potrzebuję. Dla tego że masz dyplomy na oślej skórze, już ci się zdaje, żeś wszystkie rozumy pojadł, tymczasem i z dyplomami można być... No, nie dokończę, boś przecie mężczyzna pod wąsem. Ale proszę cię odtąd pamiętaj, żeś moim synem a ja twoim ojcem, i te teorje niedorzeczne, które mosterdzieju z zagranicy przywiozłeś, wybij sobie z głowy. Szlachta polska, sercunciu, jak to *Teraźniejszość* właśnie wczoraj znakomicie napisała, była z dawien dawna demokratyczną i tolerancką, tak więc żyd jak protestant, był dobrym dla Rzeczypospolitej. My tu w Galicji, gdzie wspaniałomyślny monarcha dał nam taką wolność, o jakiej przed trzydziestu laty aniśmy marzyli, powinniśmy się łączyć, z twemi zaś zasadami doszlibyśmy chyba do rozbicia. Zresztą mam nadzieję, że jak Sterna bliżej poznasz, sam o nim zdanie zmienisz.

Na tem skończyła się rozmowa. Ryszard pocałował ojca w rękę, przepraszając go, że mu przerwał uwagą niewłaściwą i oddalił się do swego pokoju; ojciec zaś wziąwszy fajkę i gazetę, poszedł na werandę.

Pan Gozdawa kochał syna nad życie; dla niego drugi raz się nie ożenił, aby, jak powiadał, dziecku macochy nie dawać; w przystępie dobrego humoru, o co u niego trudno nie było, gotów był puścić się z nim nocą po Paryżu, zwłaszcza, że dla małej różnicy wieku, poczytywał go raczej za przyjaciela, niż za syna; wszakże obok tego wszystkiego nie chciał, by mu się jedynak w czemkolwiek sprzeciwiał.

Nie był to objaw despotyczności, której pan Władysław nie miał w swojej naturze, ale raczéj obawa, żeby Ryszard nie wziął nad nim zupełnej przewagi. Widząc, że syn jest nad wiek swój rozumny i poważny, pragnął ukryć przed nim wszystkie swoje niedostatki, krom tych, które z krewkości jego temperamentu wypływały, bo mówiąc między nami, żenował się jedynaka. Nie było mu teraz przyjemnie, że Ryszard tak stanowczo sprzeciwił się jego zdaniu o żydach, to też gdy sam jeden znalazł się na werandzie, zamiast gazetę czytać, wsparł się na łokciu i dym z cybucha puszczając, tak sobie myślał:

— Kto wie, może on i ma racją, bo to plemię mosterdzieju doprawdy jakieś niebezpieczne, ale czy mogłem mu słuszność przyznać? Przyznawszy, trzeba by sercunciu dla samej przyzwoitości zerwać natychmiast ze Sternem wszelkie stosunki, a to mosterdzieju byłoby dla mnie zabójcze. Gdyby nie Stern, jak mi Bóg miły nie wiem, czembym do zimy dociągnął. Tymczasem jak mi da ośm tysięcy na samą pszenicę, będziemy górą mosterdzieju! Dziwi mnie tylko, czemu nie przysyła... wytrzymuje, wytrzymuje! Nie dziwota sercunciu, jak każdy kupiec i spekulant. Ciekawym czy też Rysio się domyśla, że koło mnie taka chuda fara... Ręczę że nie przypuszcza... W domu zastał przecie wszystko po dawnemu. Kucharz doskonały, piwnica mosterdzieju że równej poszukać, konie cugowe i wierzchowe od *semper* djabłów, a że gotówki nie wiele, toć przecie tak zawsze bywało... A może by mu powiedzieć, jak rzeczy stoją? E, nie sposób sercunciu, wstyd wstyd! Cóżby sobie pomyślalał?... Niech no ja się mosterdzieju wpierw wygramolę, potem chętnie mu już powiem, jak to dawniej źle było, ale dziś uszy do góry! Ciekawym kiedy on po swoje pieniądze do sądu pojedzie... Wszak już skończył lat dwadzieścia sześć... Chryste Panie mosterdzieju! Na śmierć zapomniałem!

To zawoławszy, porwał się na równe nogi, i jakby młodzik jaki, pobiegł cwałem do swojej sypialni. Tu otworzył szafę ogniotrwałą i wyjął z niej kasetkę palisandrową, potem piersi sobie rozpiąwszy, zdjął z nich mały kluczyk na czarnej wstążeczce, który tam wisiał obok szkaplerza, i z tem udał się do Ryszarda. Młody człowiek siedział nad dużą księgą. Tak w niej był zatopiony, że nie słyszał kroków ojca. Ten zbliżył się do stołu i głosem wzruszonym przemówił;

— Zapomniałem synu, dać ci tę oto pamiątkę, po twojej matce nieboszce, którą umierając do rąk mi oddała. Prosiła, bym tej kasetki nie otwierał,

i wręczył ci ją gdy skończysz lat dwadzieścia sześć... Nie otwierałem synu i oddaję ci taką, jaką mi ją twoja matka powierzyła.

Bardzo musiał być wzruszony, skoro tak długo mówiąc, ani raz nie użył przysłowiów ulubionych. Syn wziął z jego rąk kasetkę, on zaś wyszedł do drugiego pokoju.

Ryszard drżącą ręką włożył kluczyk i otworzył. Wewnątrz leżał relikwiarczyk w srebro oprawny, obok niego list z napisem: „Do mojego syna.“ Całe wnętrze kasetki było pokryte drobnym pyłkiem, który dostał się tu chyba otworem od klucza. Świadczyło to najwymowniej, że przez długie lata nikt do niej nie zaglądał. Pan Gozdawa prawdę więc powiedział. Przez ćwierć wieku stała nietknięta, a chociaż nie raz i nie dwa szatan mu podszeptywał, żeby zajrzał do środka, nie uczynił tego, gdyż tak przyrzekł żonie umierającej. Cokolwiek można było o nim powiedzieć, nikt mu nie zarzucił, by nadużył kiedy zaufania lub słowo złamał. Pod tym względem był on podobnym do wszystkich Gozdawitów, którzy słynęli z prawości staropolskiej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA BŁĘDNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Abel, w którego twarzy wszystkie fibry drżały a na czoło wystąpił pot zimny, spojrzał w kierunku jej ręki. Zdawało mu się, że jasny promień spływał z tych białych paluszków, przebijał ciemne mury i uderzał o czoło ojca jego, barona de Moranes, aby je oświecić w przyciemnionej bibliotece.

Chciał wątpić, aby się przygotować do tego ciosu.

— On, mój ojciec!

— Tak — szepnęła Blanka, przyciskając czoło do piersi brata.

— Któż ci tę bajkę opowiedział? — Abel zapytał.

— Nikt.

A podnosząc się cokolwiek, dodała:

— Samam widziała!

— Ty!

— Tak, widziałam! widziałam!

— Był to sen, halucynacja!

— Nie, odparła Blanka stanowczo. — Ja dobrze widziałam.

Abel nie miał czasu do dalszych pytań. Panna Dumesnil weszła z uśmiechem na ustach, wyprostowana, w rękawiczkach, przybierając postawę imponującą.

— Nareszcie! nareszcie! przybyłeś, kochany panie Ablu; czy miałeś podróż szczęśliwą?

Dla Abla nie było potrzebnem kurczowe ściśnienie ręki, Blanki wystraszonej, aby zrozumiał, że panna Dumesnil nie wie o niczem, nic nie przypuszcza, że zatem trzeba starannie ukryć tę straszną tajemnicę przed jej gadatliwą ciekawością.

Odpowiedział głosem stłumionym, który mógł z utrudzenia pochodzić.

— Dziękuję pani... podróż była dobrą.

Panna Dumesnil zaledwie zauważyła te słowa. Oczami szukała pana de Rosey.

— Jak to! odjechał? — zapytała. — Rozumiem. Nie chciał być niedyskretnym.

Westchnęła zawiedziona. Nie użyje uczty, na którą się cieszyła, nie będzie mogła obserwować młodzieńca zakochanego.

— Statek musiał się bardzo spóźnić — rzekła do Abla. — Wyglądasz pan bardzo zmęczony... Ale prawda, przyszłam panu oznajmić, że pan baron cię oczekuje. Spotkałam Piotra, który szedł tutaj, wyręczam go. Idź pan szybko zdać raport ze swego rozumu.

Blanka za wejściem panny Dumesnil spiesznie oddaliła się od brata i ukryła w cieniu, który padał z ogrodu przez drzwi szklanne. Zwróciła się plecami i nie poruszyła nawet, aby Abla zatrzymać, lub pożegnać go spojrzeniem.

On ze swej strony bał się zawołać na nią, aby panna Dumesnil nie spostrzegła jej łez i wybladłej twarzy. Wymówił więc cicho „do widzenia“ i wyszedł, jak gdyby miał w krótce po rozmowie z ojcem tu powrócić.

Panna Dumesnil miała widocznie rozdział czy tom romansu do zakończenia. Spojrzała ironicznie na młodą dziewczynę zamyśloną i zasiadła przy lampie. Ale zanim otworzyła książkę, stara guwernantka chciała posprzeczać się trochę z wychowanką, głosem więc słodkawym zapytała.

— No! kochanko — kiedy nastąpi deklaracja?

Tym razem Blance zaćmiło się w oczach tak, że mało nie upadła. To dobroduszne zapytanie było nadmiarem boleści, nową męczarnią wśród wszystkich goryczy. Nie miała powodu nienawidzieć owej poczciwej panny Dumesnil; ale wydawała jej się w tej chwili okrutną, a głos jej wstrętnym.

Czyż nie było to okropnem, że nie mogła rzucić się na szyję owej opiekunki i wezwać jej opieki macierzyńskiej? że czuła się więcej opuszczoną, więcej sierotą w tej chwili niż wtenczas, gdy jej dusza potrzebowała serdecznego wylania.

Nie ruszyła się, udając że nie słyszy.

Nieomylna panna Dumesnil, która chciała tylko pożartować, uważając to milczenie za skromność i zawstydzenie niewinne, uśmiechnęła się, szczęśliwa, że tak dobrze rozumie wszelkie uczucie i aby nabrać większego doświadczenia, roztworzyła książkę spoczywającą na jej kolanach.

— Dobrze, dobrze, duszko — rzekła z dobrocią — zachowaj twoje tajemnice. Uprzedzam cię jednak, że je odgadnę, jeżeli mi ich nie powiesz. Pan de Rosey odjechał zazdrośny, gdy brat przyjechał. Przyjedzie jutro, albo przyszle poselstwo. Co mówi na to pan Abel? Czy pomówi o tem z ojcem?

Blanka milczała ciągle; panna Dumesnil, przyzwyczajona do marzeń uczennicy i ciekawa swej powieści, zadowoliła się uśmiechem, który zasyczał jak świst żmiji, zapowiadający rany na jutro. Odwlekała zemstę i czytała sumiennie dalej.

Gdy Blanka spostrzegła, że nie potrzebuje obawiać się dalszych badań, usiadła opodal od starej panny i tak martwa, niema, z myślami cisnącemi się z szaleństwem do głowy przetrwała całą chwilę. Brat, ojciec, matka, pan de Rosey, jutrzejsze pojedynki, rozmowa obecna Abla z ojcem, która mogła być więcej morderczą, niż wszelki pojedynek, jej miłość nieszczęśliwa, jej przywiązanie do brata, wszystko to razem przesuwało się z boleścią po jej główce i zadawało jej cios śmiertelny.

Po kwadransie jednak nadzieja wstąpiła w jej serce. Przyjazd brata, przybycie pana de Rosey, chociaż ją zasmuciło, dodało jej jednak sił i otuchy.

Powstała i wolno, cichutko, jak gdyby somnambulicznie, nie ściągając uwagi panny Dumesnil, zagłębionej w czytaniu, wyszła ze saloniku, otworzyła drzwi prowadzące do ciemnego salonu, przeszła go, ręce składając jak do modlitwy i powtarzając jedynie: — Mój Boże! mój Boże! — weszła do sali jadalnej, z tamtąd do sionki poprzedzającej bibliotekę ojca i oparła się o ciężkie drzwi podwójne, których jedno skrzydło Abel zostawił otwarte. Chciała słyszeć, chociaż nie podsłuchiwać, rozmowę toczącą się po drugiej stronie drzwi dębowych — pomiędzy ojcem a synem.

VI.

Biblioteka barona de Moranes, jego biuro, jego sanktorjum, które rzadko opuszczał, była najobszerniejszym pokojem w pałacu. Aby wygodnie pomieścić w nim wszystkie książki, bo inne szpargały zapełniały poddasza, aby poustawiać zbiory, które pownoszono oknami i drzwiami, wybito ścianę, oddzielającą dawną bibliotekę od sali bilardowej.

Nie potrzebuję dodawać, że myśląc tylko o tem, jakby najwięcej miejsca uzyskać, a nie jakby urządzić salon według wymagań architektury i dobrego smaku, uczony pozastawiał szczelnie miejsca dawniej na książki przeznaczone, szafami dębowemi, rzeźbionemi, wykładanemi .kamieniami okratowanemi — nie zważając na wygodę, nawet nie kazawszy zatrzeć na suficie śladów ściany wybitej. — Tym sposobem gabinet przedstawiał dwa różne obrazy. Z jednej strony księgi poskładane i rozrzucone, szafy otwarte, drabina biblioteczna, potrzebna do ksiąg zdejmowania; z drugiej kamienie z grobowców, mumie, bóstwa indyjskie, albo meksykańskie, odbijały od obrazów z XVIII. wieku — które na ścianie pozostały. Łańcuch, na którym wisiał niegdyś świecznik nad bilardem wisiał dotąd, ale do łańcucha uczepiono teraz ptaka olbrzymiego, przysłanego przez Abla z Meksyku a którego pan de Moranes z czułości wypchać kazał. Co do bilardu, to napotykały się jego szczątki, ale służyły za słupki, dźwigające książki lub wazony, a można było poznać po głowach lewków spłaszczonych, które je zdobiły, że zostały zrobione z resztek bilardu i torebek bilardowych, stół zapewnie został spalony. Kule z kości słoniowej leżały i żółkły w wazie którą bożek Ametochji, meksykański Bacchus, trzyma na głowie. Kije zastąpiły drzewce do trofeów.

Nauka i historja mają poezją, która poważnie się objawia. Mimo że pan de Moranes nie zważał na ład w ustawianiu, to zawsze ów zbiór rozmaitości przedstawiał malowniczy, chociaż dziwaczny widok, a wśród pyłu, który to Kafarnaum pokrywał, błyskały tu i owdzie medale kosztowne i złomy marmuru, które dodawały harmonji temu nieładowi.

Skoro się wchodziło, zadziwiała zaraz obszerność tej sali naukowej. Przestrzeń, którą zapełnia myśl jednego człowieka, budzi szacunek. Ten nieład nie raził, bo każdy przedmiot budził interes, przypominał ludzkość, wśród której geniusz królował. Nic nie usposabiało do śmiechu lub ironji, chociaż można się było uśmiechnąć na widok niektórych potworów, bóstw, z których niejedne miały groźnę postawę a wieczorem, przy świetle przyćmionej lampy przybierały wyżłobione ich twarze wyraz zamyślenia, zdawały się ożywiać i spoglądać poważnie, skłaniając patrzącego do religijnego poszanowania.

Począwszy od Wiltzliputzli, najwyższego boga, który nie wysłuchał ostatniej prożby Montezumy, aż do Teskaltipuka, bóstwa opatrzności, któremu Meksykanie dowcipnie włożyli na nos okulary, aby je więcej uczcić, czy wyśmiać, nie zapominając Flalocha, boga zemsty, zniszczonego przez Ferdynanda Korteza, wszystkie bóstwa meksykańskie były tam nagromadzone. Nieme, ponure, smutne jak wygnańcy, spoglądały dumnie oczami granitowemi na niedowiarków śmiejących ich pytać, a usta ich wielkie, pomarszczone zdawały się powstrzymywać przekleństwo, które rzucić chciały.

Pan de Moranes sam. był figurą najmniej malowniczą, ale nie mniej oryginalną z całego tego zbioru.

Więc wydawał się być dozorcą swego muzeum, niż jego genjuszem opiekuńczym.

Mały, okrągły, pochylony nauką, z głową dużą, szyją grubą, włosami rudemi, twarzą mocno czerwoną, bez wyrazu, o rękach grubych, kosmatych, nie wyglądał wcale na uczonego.

Noce bezsenne rozpalały mu krew zamiast ją studzić a wśród tej ogromnej izby zdawał się być jakby pogromcą dzikiego Olimpu, gotowym do założenia rękawów i do druzgotania posągów bóstw uwięzionych, do rozłożenia ich na stole i poddania badaniom.

Jedno oko, ów Judasz zdradzający duszę, zawsze przysłonięte, bo badawcze, zdradzało męża nauki, który prawie zawsze stojąc przy wielkim stole *á la* Fronchin, zdawał się chwytać za młot, aby nim o kowadło uderzyć, za każdym razem gdy brał pióro do ręki.

Ubrany w szlafrok koloru spłowiałego, z którym się nigdy nie rozstawał, z głową odkrytą, o włosach krótkich i sterczących, pan de Moranes odstraszał wizytujących go, to jest, fizjonomia jego, tak mało odpowiadała idei, którą sobie wielbicieli nauki wyrobili o człowieku wiedzy głębokiej i badaczu starożytności.

Dziwiono się że wiele umiał, kiedy niema wybladłej i zapadłej twarzy. Owa energja temperamentu, objawiająca się w uszach czerwonych, policzkach pełnych, skłonnych do udaru, zdawała się osobliwą tem więcej, iż wiedziano, że p. de Moranes prowadzi życie nużące, od młodości zaś był tak zdrów jak mało kto.

Owa głowa okrągła, twarz rumiana, bez krawata, mogła służyć za model Holbeinowi. Jego pędzel byłby go jednak uidealizował a przez samą oryginalność owej siły wyrazistej portret ten byłby ściągnął uwagę każdego.

Jeżeli jednak p. de Moranes nie posiadał bladości Fausta przed jego przemianą, jeżeli wyglądał raczej jak wędrowiec, myśliwy, rolnik, on, który nie chodził wcale i nie ścigał nic prócz cieniów wśród mumji i podań a uprawiał tylko lingwistykę i etnografię; to jednak odstraszał właśnie ową siłą fizyczną, bijącą z jego postaci. Człowiek był gotów pięścią borykać się z uczonym, a owa gorączka krwi, na twarzy widoczna, nie przeszkadzała powadze, sztywności, wstrzemięźliwości słów i gestów, które tworzyły tym większy kontrast.

Zdawało się, że p. de Moranes odstraszający drugich mimo swej powierzchowności trywialnej, bał się sam siebie, więc się strzegł. Wola złączyła się z powołaniem uczonego i zabraniała mu rozrywek. P. de Moranes nie wysilał się aby pokochać naukę, ale życie drgające w nim, które, przy jego pięćdziesięciu latach mogło zapragnąć jeszcze innych wrażeń, oprócz tych, które badania starożytności dawały, były zagłuszone w nim, despotyczną pogardą.

Ów rumiany uczony, był równie zimny, nieugięty, jak mędrzec wybladły. Na przekór naturalistom, ów kolor nie przeszkadzał temu, a gwałtowność temperamentu poskromioną była.

Abel zostający pod wrażeniem ostatnich słów siostry, doszedł aż do drzwi biblioteki, drżąc z gniewu i oburzenia. W chwili gdy je chciał otworzyć, przestraszył się nagle.

Nieśmiało położył rękę na klamce, pocisnął ją cicho i przypomniał sobie, że nie może wejść bez dania znaku, to też zapukał lekko jakby obcy i dopiero wszedł, gdy usłyszał szorstki głos ojca wyzywający go.

P. de Moranes siedział zwrócony plecami do drzwi.

— Chodź, chodź! — rzekł z uśmiechem, który drżał w jego głosie, ale nie ukazał się na twarzy. Już przecie od godziny przybyłeś! Cóżeś robił?

— Rozmawiałem z Blanką.

— Powinieneś był odemnie zacząć.

Pomimo wymówki przyjęcie było nader serdeczne ze strony p. de Moranes.

Abel był wzruszony. Zbliżył się bojaźliwie z rękoma wyciągniętemi. P. de Moranes nigdy nie całował dzieci swoich. Pochwycił ręce syna i ścisnął je mocno w swoich. Abel poddawał się temu.

— Głodnyś? — zapytał spiesznie archeolog, jak człowiek uradowany, chcący być grzecznym a sztywny nie wie jak się zabrać do tego. Spiesznie zaś chciałby z tych trosk pospolitych przejść do rozmowy poważniejszej.

— Dziękuję ojcu — rzekł Abel głosem drżącym.

— Wyglądasz, jakbyś był chorował?

— Nie mój ojcze.

Pana de Moranes nie przekonała ta odpowiedź. Uniósł kapturek od lampy, aby się synowi lepiej przypatrzeć, spostrzegł, że jest blady, więc z uśmiechem dodał:

— Oj, jesteś zmęczony. Pomówimy jutro; opowiesz mi o podróży. Idź spać, mój drogi!

— Mówmy dzisiaj! — rzekł ośmielając się Abel.

— Jak chcesz, słucham, usiądź i mów.

Wskazał mu krzesło; sam zaś stał oparty o biurko z zaciśniętemi rękoma.

Abel prawda, że pragnął rozmówić się z ojcem, ale nie myślał opowiadać o podróży; chciał wyjaśnienia od niego. W tej jednak chwili zdawało mu się niepodobnem, okrutnem nawet zapytać go: — Czy prawda że ty ojcze zabiłeś matkę?

Powinien był Blankę lepiej o to rozpytać. Zapewnie owo dziecię romansowe, chorowite, przestraszone szorstkością uczonego, wymyśliło sobie historję niepodobną, potworną!

Abel patrzał na pana de Moranes, pragnąc zapomnieć że to jego ojciec, szukając na jego twarzy jakiegobądź znaku wyrzutu, rozbierając każdy rys, jak nieznajomy szukający śladów morderstwa. Z twarzy rumianej i zadowolonej uczonego, spuszczał wzrok na jego żylaste ręce i powtarzał w duchu.

— Czy te ręce zdolne były do takiej zbrodni?

W czasie tej analizy uśmiechał się dobrodusznie, aby sobie tym uśmiechem dodać pewności aby znaleść słowa na owo pytanie, palące mu duszę i nie zdolne wydobyć się na usta.

— W ostatnim twoim liście — przemówił ojciec — pisałeś, żeś zadowolony z twojej podróży. Tak też myślę. Jest wprawdzie kilka wątpliwości w notatkach które mi nadesłałeś, ale to sprostujemy i ja jestem zadowolony.

P. de Moranes zacierał radośnie ręce, co nie było u niego rzeczą zwyczajną; ale widocznie cieszył się że ma słuchacza, z którym trochę porozprawia.

Abel skinął głową na podziękowanie, uśmiechając się ciągle a myśląc:

— Czemuż przed czterema laty nie powiedziała mi Blanka tego, co dzisiaj? Przypominam sobie, że była już wówczas bardzo smutną.

P. de Moranes rozweselał się widocznie.

— Przyjeżdzasz w sam czas — mówił. — Mówią o kongresie etnograficznym, który ma się odbyć w Paryżu. Byłbym musiał nań jechać. Ty mnie zastąpisz; odczytasz sprawozdanie, które wygotowałem.

Abel powtarzał w duchu:

— Biedna Blanka, jakże cierpieć musiała! Byłaby umarła wskutek tej tajemnicy. Uratuję ją, a gdy będzie uratowaną, jeżeli koniecznie potrzeba, aby ktoś ginął, to ja się sam zabiję, bo za ciężkie byłoby mi życie!

— Ale słucham cię — odezwał się p. de Moranes.

Abel otrząsł się zdziwiony.

— Słuchasz mnie?

— No naturalnie, co tak patrzysz na mnie? Czy znajdujesz mnie zmienionym?

— Nie mój ojcze.

Abel odwrócił wzrok od ojca i spoglądał po bibliotece. Bogów posągi tworzące w bocznem skrzydle jakby aeropag olbrzymów, dodały mu odwagi i uspokoiły go. Zdawały się świadczyć o niewinności uczonego i zabraniać surowo synowi, bez szacunku należnego, ojca posądzać. Wszak były świadkami jego życia i jego samotności?

W miarę jednak, jak Abel opóźniał pytanie, zdawało mu się coraz trudniejszem i niepodobnem. Owo uwielbienie pełne bojaźni dla tego wielkiego uczonego, którego nazwisko nosił, powracało. Obraz Blanki zniknął na chwilę. Zaczął opowiadać o swoich ostatnich odkryciach.

P. de Moranes potakiwał głową, słuchając z zajęciem. Jeszcze nigdy Abel takim go nie widział. Potrzeba było owego powrotu i uroku nowin, aby uczonego z jego sztywności wydobyć. Nie był pedantem z systemu, nie zadawał sobie gwałtu, gdy był zimnym, nie umiał kłamać uczucia. W tej jednak chwili jego egoizm ulegał nagłemu wpływowi. Gotów był kochać, jak inni kochają swoje dzieci, tego syna, który przywoził mu skarby wiedzy i tak go rozumiał. Była to rozkosz dla niego, że to dziecię, jego jedyny spadkobierca, tak się z nim zgadzał, był dumą ojcowską, której dotąd nie zaznał — ów syn tak wespół z nim wtajemniczony w głębie nauki.

Owo wzruszenie mięszało Abla coraz więcej. Zwykła obojętność p. de Moranes byłaby mu sił dodała. Zadanie i tak z siebie trudne, stawało się teraz niepodobnem, gdy miał spędzić z ust ojcowskich uśmiech dotąd nieznany; miałżeż zostać obojętnym i sędzią surowym?

Rozśmiał się. Mówił obszernie o swoich pracach i podróżach. Chcąc wszystko powiedzieć, spieszył się myląc daty i mieszając nazwy krajów, wypróżniając swoją pamięć jak się wypróżnia kufer podróżny, rozrzucając wszystko bezładnie. Słowami chciał zagłuszyć hałas, który szumiał mu w głowie, jak wyrazy rozlegały się w izbie obszernej. — P. de Moranes po dwa, czy trzy razy zmarszczył czoło, uderzał kilkakroć o biurko palcami, chcąc przestrzedz syna, za każdym razem, gdy się mylił. Na ten znak pedagogiczny Abel przychodził do siebie, spoglądał na ojca bojaźliwie, wyrzucał mu, iż go budzi z owego upojenia i mówił dalej spokojniej, ale zawsze z roztargnieniem. Pana de Moranes znużyła wreszcie ta gadanina.

Uderzył mocno o biurko i rzekł szorstko, chociaż pobłażliwie:

— Przestań, nie wiesz co mówisz!

— Prawda — rzekł Abel, przebudzony temi słowami.

— Idź spać moje dziecię.

Abel nie ruszył się. Zdawał się nie chcieć podnieść z krzesła. Oparł się o poręcz obojętnie, ale drżąc cały z wruszenia.

— A więc, na cóż czekasz jeszcze?

Ablowi zdawało się, że nie potrafi wymówić słów stanowczych; ścisnęło go w gardle. Chciał to przezwyciężyć i zawołał głośno.

— Na nic!

— Ale poziewasz — rzekł ojciec z uśmiechem.

— Nie — rzekł wstrząsając się.

— Gdybyś mógł się zobaczyć!

— Muszę być bardzo blady.

— Tak.

— Bo mam wielki ciężar na sercu, o którym chciałem mówić z tobą mój ojcze.

— Zwierzenia!

P. de Moranes wymówił to ironicznie i syczącо, czem dotknął Abla, jak sztyletem.

— Nie, mój ojcze — odrzekł tenże, podnosząc się — chciałem po prostu zrobić ci zapytanie.

Czy p. de Moranes przeczuwał, o co chce syn zapytać? Czy chciał ostrzedz Abla, według swego zwyczaju, że podobnemi dziecińtwami, nie zajmuje się takiego uczonego? Założył ręce, postąpił dwa kroki naprzód i powiedział:

— Pytaj, skoro ja mam odpowiadać.

Abel był zdecydowany, a jednak odstąpiła go odwaga. Powtórzył więc prawie to samo, co Blance powiedział:

— Chciałbym wiedzieć, dla czego mam dwa pojedynki jutro?

— Pojedynkujesz się?

— Tak, mam dwa pojedynki, może trzy, a nieznam zniewagi, którą pomścić muszę.

— Z kim się bijesz?

— Z panem Juljuszem Courberon, synem bankiera w Boulogne.

P. de Moranes poruszył pogardliwie ręką, by odpędzić nazwisko? które mu nic nie mówiło.

— A potem? — zapytał.

— Z panem Iwanem de Somery — wyrzekł zwolna Abel, odczytując kartkę, którą wydobył z kieszeni.

Biurko zatrzeszczało pod ciężarem opierającego się o nie pana de Moranes. Abel podniósł oczy. Spojrzenie ojca i syna, skrzyżowało się jak dwa miecze. Nastało milczenie walki.

Baron przyszedł pierwszy do siebie i rzekł zwolna, stanowczo:

— Co zaszło takiego pomiędzy tobą a twym przeciwnikiem?

— Prawie nic. Jechałem z panem de Somery na statku. Nie znałem jego nazwiska, on nie znał mego. Spotkałem się z nim powtórnie w Boulogne. Zasiedliśmy razem do stołu i zapewne bylibyśmy zawarli wspólną przyjaźń, bo sympatyzowaliśmy z sobą, gdyby młody głupiec Juljusz Courberon, który mnie poznał, bo mi wypłacał weksel, nie wymienił był mego nazwiska ze złośliwą ironją. Pan de Somery odsunął swoje krzesło i swój kieliszek od mej ręki wyciągniętej... Wyzwałem go!

— To wszystko?

— Tak.

— Nie widzę żadnego powodu do tego, aby się strzelać. Czy ów pan Courberon, tylko nazwisko twoje wymienił?

— Gdy go zainterpelowałem, aby mi powiedział, dla czego moje nazwisko wywarło takie wrażenie na panu de Somery, odparł z nieznośną ironją: „Zapytaj pan o to ojca!“

P. de Moranes stał niewzruszony.

— A pan de Somery nie wmięszał się w tę sprawę?

— Dał policzek panu Courberon, zanim miałem czas rękę podnieść.

— Więc cię pomścił!

— To mi nie wystarcza.

— Powinno ci wystarczyć!

— Wybacz ojcze...

P. de Moranes stał się groźnym, chociaż milczał.

— Powtarzam, że powinno ci to wystarczyć. Poradzono ci, abyś mnie zapytał. Ja sam jestem sędzią naszego honoru, czy rozumiesz mnie? Zakazuję ci bić się. Zapomnisz o tej kłótni kawiarnianej. Byłeś rozgorączkowany, co twą porywczość usprawiedliwia. Twoi przeciwnicy zrozumieją to.

— Któż im to wytłumaczy?

— Wytłumaczą to sobie sami. Powracasz z nadto rozpaloną głową. Czy to wszystko co chciałeś mi powiedzieć?

— Nie.

— Kończ twoje zwierzenia, czy zapytania; już bardzo późno dla ciebie.

P. de Moranes stawał się groźnym jak posąg z jego muzeum. Rumieniec ustępował bladości, która rozpościerała się na licach. (C. d. n.)

Miłość wszystko zwycięża.

NOWELLA.

(Dokończenie.)

Obawa o zdrowie żony przyprowadziła Alfreda do rozpaczy. Przez wzgląd na nią, postanowił pożyczyć trochę pieniędzy u bogatego krewnego.

— Zostań Sikoro nim wrócę — przemówił — a potem pójdziesz po drzewo. Brr! próbowałem ostatniego środka by się rozegrzać, czytałem o upałach w Brazylji, lecz i to mi nie pomogło.

Wyszedł. Sikora cierpliwie czekał. Gdy malarz wrócił, usta jego okalał uśmiech gorzki, ironiczny.

— Przyjacielu — zawołał — musisz mieć jakichś krewnych na świecie.

— Zapewne.

— A masz pomiędzy niemi człowieka, który ma pieniądze i ciepłe suknie, pije gorące napoje, a serce ma zimne jak lód, pojmujesz? — zimne jak lód, twarde jak głaz — mów że, mów!

— Nie.

— A więc po mojej śmierci zapisuję ci mego, byś i ty posiadał tak lubego kuzynka. Ale teraz drzewa, drzewa koniecznie! Stój! Genjalna myśl przychodzi mi do głowy, szkoda że tak późno, gdy wiosna już się zbliża. Sikorko, ptaszku najmilszy, nie znasz kogo, ktoby miał piłę i siekierę?

— I owszem sam je mam.

— To przynoś że prędko.

— Ale poco — naco?

— Człowieku, nie pytaj. Jak zobaczysz ogień na kominku a ja skostaniałe nogi rozgrzeję, to ci odpowiem na wszystkie zapytania. Teraz ruszaj!

Sikora pobiegł szybko.

Alfred z miną uradowaną zbliżył się do żony.

— Do góry głowę Jadziu! — zawołał — za kwadrans będzie tu ciepło, pięknie, uroczo. Ktoby zechciał, mógłby się przechadzać nawet w stroju Adama.

Żona smutno się uśmiechnęła.

— A zkądże masz drzewo? — zapytała.

— Nie pytaj żończiu! Dosyć że je mam — nasz anioł opiekuńczy zaraz je przyniesie. Ha, miłość wszystko zwycięża! Za chwilę usłyszysz miłe dźwięki piły i siekiery. Będę tak długo palił, aż ukaże nam się przez szyby niebo lazurowe.

Sikora przyniósł żądane narzędzia i z ciekawością wręczył je malarzowi.

— Co właściwie piłować będziemy? — zapytał.

— Drzewo! tylko drzewo! No a potem, twoją mózgownicę, by zobaczyć czy jest w niej choć trochę oleju. O głowo kapuściana! przechodziłeś przed chwilą koło poręczy od wschodów i niczego się nie domyślasz?

— Nie — odparł naiwnie karzełek.

— Człowieku i tyś chciał zostać malarzem! Powiedz, potrafiłbyś iść po wschodach bez poręczy?

— O! doskonale.

— Widzisz niedomyślne stworzenie, jeżeli bez poręczy obejść się można, to jej nie potrzeba, a jest z suchego drzewa i pali się wyśmienicie, więc naturalnie że ją porąbię i na kominku zapalę. Oj chłopcze nic z ciebie nie będzie! Jedna myśl porządna w twej głowie nie powstanie.

— Co? pan chcesz tę poręcz! — krzyknął karzeł z przerażeniem. — Ale co powie gospodarz?

— Zrobi tak mądrą minę, jak ty w tej chwili. Szczęście, że ma podagrę w głowie i całą zimę nie wyjdzie. Uspokój że się Sikorko i podaj mi piłę. Tak... tak. Zatnij teraz siekierą, patrz! już się rusza, miałem cię zawsze za olbrzyma, nie powstydźże się teraz. Victoria! Już dzieło skończone, ale rozgrzałem się dobrze. Stolarz drzewa nie żałował, było koło czego popracować.

Połowa poręczy leżała szczęśliwie zrąbana.

— Na parę dni wystarczy — z radością malarz zawołał — nie ma to jak dobra głowa i gruba poręcz od wschodów. Przysięgnij zaraz Sikorko, że gdy kiedy w twem życiu, będziesz budował kamienicę, o czem ja śmiem powątpiewać, nie dasz poręczy żelaznej. Przysięgnij! Wszak widzisz, jak drewniana jest pożyteczną.

Za chwilę drzewo było połupane i malarz wszedł z grubą wiązanką do pokoju.

— Patrz Jadziu! co za pyszna buczyna. Jam już dostatecznie rozgrzany, lecz tobie zapalę, by ci cieplutko było. Daj mi rączkę żoneczko, widzisz, śmiałaś się nie raz gdym mówił, że miłość wszystko zwycięża, a każden kawałek drzewa jest tego dowodem. Już ziębnąć nie będziesz, moje biedactwo!

Wnet na kominku ogień zapłonął. Jadzia śmiała się z tysiącznych żartów męża. Jemu serce rosło, gdy patrzał, jak przy tem cieple usta jej blade nabierały kolorów.

Na tydzień cały wystarczyły poręcze. W pokoju było w dzień i w nocy ciepło. A któż opisze radość Alfreda, gdy żona poczęła zdrowie odzyskiwać.

Sikorka wprawdzie pytał, głową potrząsając, co potem palić będzie?

— Drzewo, drzewo, — odpowiadał wesoło malarz. Twoje pytania wprawdzie są też suche, ale się palić nie zechcą. Boże! czyż nie ma więcej drzewa w świecie, jak na poręczach. Patrz! ile korzyści dobra myśl przynosi, od tego czasu żona do sił przychodzi a ja za czterech pracuję.

Sikora nie wiedział co odpowiedzieć.

W kilka dni potem, wziął go malarz za rękę a pokazując wschody rzekł:

— Wiem wprawdzie, że masz krótkie nóżki, ale spróbój mój przyjacielu, czy potrafiłbyś przeskakiwać jeden wschód.

Karzeł wypatrzył się na niego. Zaczynał się czegoś domyślać.

— Jabym potrafił — wyjąkał — ale do czego to prowadzi?

— Posłuchaj tylko. Ja doskonale wschody przeskakuję, moja żona nie wychodzi, a jeżeli i ty to potrafisz, więc co drugi jest zbyteczny, i może być spalony.

— Ale gospodarz... gospodarz!

— Cicho, czarny duchu! Gospodarz ma ciągle podagrę, zresztą trudniej mu jeszcze wyjść będzie, gdy tylko co drugi wschód zostanie. Nie masz wyobrażenia, jakie to drzewo suche, jak się pysznie pali! A teraz dalej, bierzmy się do dzieła!

— Patrz co to za deski! Jakiś rozrzutnik ten dom budował. W nim jest pół lasu. Wiesz przyjacielu, gdy będę bogatym, co z pewnością nie długo nastąpi, to ci po śmierci wybuduję pomnik, ale drewniany, bo ja lubię wszystko z drzewa.

Połowę wschodów szczęśliwie wydobyto. Lecz i te się nie długo skończyły, a obraz Alfreda nie znalazł jeszcze amatora. Sikora nabrał już wprawy w przeskakiwaniu wschodów gdy go malarz znowu zagadnął:

— Śniło mi się tej nocy, żeś upadł z tych nieszczęśliwych wschodów i nogi połamał. Nie chcę twemi nogami chłopcze, mojego sumienia obciążać, więc posłuchaj: wschody są dla ciebie niebezpieczne, czyż nie lepsza ta oto sznurowa drabina, którą wyszukałem? Nie załamiesz się na niej, a trzymając się dobrze, ślicznie się wywindujesz. Wschody nie są potrzebne, a żona moja znów marznie. Widzę masz gospodarza na ustach malcze. Teraz najmniej się go boję. Gdy znikną fatalne wschody, wciągnę sznurową drabinkę i będę spokojnie siedział w mej fortecy.

Sikora milczał, wiedząc, że słowa jego, to groch o ścianę rzucany.

Wyrąbano resztę wschodów. Gdy je Alfred zniósł na poddasze i wyprawiwszy Sikorę wciągnął drabinę, było mu tak błogo jak jeszcze nigdy.

Żona pojąć nie mogła, zkąd on drzewo bierze bez pieniędzy. Znów go o to zapytała.

— Nie pytaj Jadziu, kiedy ci z tem dobrze, miłość moja drzewo stworzyła i ciebie to uzdrowiło, już wstać z łóżka możesz. Ach! co to za radość dla mnie.

Młoda kobieta z dniem każdym sił nabierała. Wiara w przyszłość Alfreda, jego wesołe usposobienie, przyczyniły się w wysokim stopniu do jej wyzdrowienia. Jak szczęśliwym czuł się malarz, gdy żona ukochana, pierwszy raz, jak dawniej, z robótką obok niego siadła, o! z jakiemże uniesieniem teraz pracował.

Alfred starał się o miejsce profesora rysunków w te-

chnice, nie mówił nawet o tem żonie. Zaszczytne to miejsce, zapewniało im świetną przyszłość, bał się ją łudzić daremnie. Nadszedł dzień, w którym rozstrzygały się ich losy, poprosiwszy Sikorę, by czuwał u bram jego twierdzy, pobiegł malarz dowiedzieć się o rezultacie swych starań.

Sikora oczekiwał go z najwyższą niecierpliwością. Po jego odejściu zjawił się gospodarz na strychu, a widząc zniszczone wschody, wpadł w wściekłość, groził stojącemu u góry karzełkowi, grubem odszkodowaniem, wiecznem więzieniem i pobiegł po policją. O! Boże — myślał biedny karzeł — jeżeli na czas nie wróci, będę musiał za niego odpowiadać, i żona jeszcze nic nie wie... Przeklęte wschodziska, nie mogły być kamienne, byłby ich wtedy nie spalił. — Pot śmiertelny występował mu na czoło, zęby dzwoniły ze strachu. Już się widział w ciemnem, wilgotnem więzieniu. Adieu cygarka i lakierki.

Naraz wbiegł promieniejący malarz.

— Sikorko! skarbie najdroższy! — zawołał — spuść most zwodzony — czyli drabinę, tylko spiesz się, bo cię uduszę.

Karzeł spuścił drabinę. Alfred w jednej chwili był już na górze, a nie wiedząc co znaczy mina wystraszona malca

— Czego się tak gapisz na mnie płaczliwie? — zawołał wesoło — czyż nie widzisz, żem tak szczęśliwy, iż bogom składając dziękczynną ofiarę, miałbym ochotę ciebie ztąd na dół zrzucić.

— Ale gospodarz — wybąkał dławiąc się chłopiec.

— Nie mów mi o nim, bom gotów i jego w kominek wpakować!

— On już tu był, wie o wszystkiem, strasznie hałasował i poszedł po policję.

— Czy żona moja wie o tem?

— Nie.

— To niech sprowadza policję z całego państwa austrjackiego, co mnie to obchodzi. Ty zaś mój chłopcze, skocz po butelkę szampana, masz tu dukata!

Sikora nie oglądając się zbiegł prędko. Wolał że go tu nie będzie gdy gospodarz wróci. Alfred wpadł do pokoju. Rzucił się przed żoną na kolana, a ucałowawszy jej obie ręce, wsypał jej do koszyczka z robotą, garść dukatów.

— Patrz Jadziu najdroższa! ile mam złota — zawołał — to jeszcze nie wszystko. Sprzedałem obraz bardzo dobrze, nabywca zapłacił samemi dukatami. Dostałem też miejsce w technice.

Rzucił się płacząc na jej piersi. — O! żonciu najdroższa! teraz ci stworzę raj na ziemi, łezkę twą każdą w perełkę zamienię. Widzisz ukochana, że miłość wszystko zwycięża!

Na strychu usłyszano jakieś krzyki.

— Co to jest Alfredzie? — zapytała Jadzia zdziwiona.

— To pewno gospodarz chce mi powinszować, — odrzekł śmiejąc się Alfred. — Chodź! niech życzenia razem nam złoży.

Wziął ją pod ramię i poprowadził do wschodów. Na dole stał gospodarz, policja i ciekawi widzowie. Gdy Alfreda zobaczyli, gwar i krzyk się zdwoił.

— Nie bój się Jadziu, — tenże przemówił.

— Ale co to wszystko znaczy? — zapytała na brak wschodów wskazując. Naraz w głowie jej się rozjaśniło. — Tyś może wschody?

— Porąbał — dokończył śmiejąc się Alfred. — Prawda że miłość wszystko zwycięża gdy żońci zimno? A jak się wschody ślicznie paliły! Niech teraz podziwiają moją genjalność.

Gospodarz groził pięściami na dole, policjanci głową potrząsali; przyniesiono drabinę.

Malarz przypatrywał się wszystkiemu, i śmiał się serdecznie, wreszcie rzucając kilka sztuk złota zgromadzonym. — Wynoście się — zawołał. — Panu zaś panie gospodarzu, zapłacę jak Krezus wyprowadzając się jutro, tylko nie przerywaj mi pan błogiej ciszy mego gniazdka. Dziś zostanę jeszcze w tym przedsionku nieba, w którym przeżyłem dni najwyższego smutku i najwyższej radości!...

Ir . . . ma.

KONIEC.

Kobieta w Bulgarji.

Trudną jest charakterystyka kobiet bulgarskich.

Któryś z francuskich dziennikarzy powiedział niedawno, iż w Bulgarji... niema kobiety!

Pozorny ten paradoks jest w gruncie rzeczy tak wielką prawdą, iż nie możemy się nawet silić na obalenie go ze stanowiska krytycznego, badając niewiastę bulgarską w jej moralnej i intellektualnej organizacji.

Tem mniej możemy odszukiwać w jej ludzkich kształtach ducha mającego się urobić w tym lub owym kierunku; byłyby to w najlepszym razie hypotezy, których przedwczesność niczem usprawiedliwićby się nie dała.

Bulgarka jestto żona lub córka bulgara — tyle o niej jest do powiedzenia...

Że zaś bulgar, gdyby nie ostatnie lata, w których okoliczności kazały mu być czemś więcej, aniżeli sobą — w stosunku do ucywilizowanego społeczeństwa musiałby zająć miejsce pokrewne zulusom albo czerwonoskórym indjanom — bulgarka zatem jest jego ujarzmioną towarzyszką, podległą mu fizycznie i moralnie — a nawet do wyemancypowania się z tego stosunku nie dążącą.

Słowa autora „Daniela Rochat“: „iż chciałoby się niemal wierzyć, iż nieszczęście po to na świat przychodzi, ażeby dać kobiecie sposobność być dobroczynną i litościwą“, dziwnieby brzmiały zastosowane do kobiety bulgarskiej.

Można opisywać jej sposób życia, przyzwyczajenia, badać jej zwyczaje i obyczaje, nie można wszakże studjować przejawów jej życia duchowego.

Bulgarka, szczególniej zamężna, jest prawie niewolnicą; supremacja mężczyzny tak tu jest całkowitą, iż po większych nawet miastach, gdzie żywioł napływowy zmiękczył już trochę pierwotną dzikość obyczajów, żona nie może opuścić choćby chwilowo progów domowych bez uzyskania poprzednio zezwolenia męża.

W braku klas ukształconych przedstawicielkami inteli-

gencji kobiecej w Bulgarji są żony i córki świeżo pokreowanych urzędników.

Pierwsze formy cywilizacyjne zawdzięczają one gwiazdom półświatka i tandeciarzom wiedeńskim; od nich powzięły początkowe wskazówki noszenia wytworniejszych sukien, ubierania się według wymagań mody, używania kapeluszy i wspomagania się całym arsenałem sztuki tualetowej, bez czego dotąd wybornie się obchodziły!

Kobiety nawet ze sfer owych nie posiadają żadnej ogłady towarzyskiej: mówiąc do mężczyzny obcego używają zawsze zaimka „ty“ — a tylko obeznane z językiem rosyjskim, co stanowi już wysokie ukształcenie miejscowe, zastępują „tykanie“ wyrazami „wasza miłość“.

Życie kobiety bulgarskiej dotąd prawie haremowe nie dało jej możności wejrzeć na świat szerszemi trochę oczyma...

Te, które łyknęły odrobinę form lepszych, nie mogą się z niemi obyć i oswoić; często też zdarza się widzieć, iż te same niewiasty, które rano na rynku lub w sklepie błyszczały wytwornością stroju zachodniego, przebiegają w parę godzin później sąsiednie od mieszkania swego zaułki w drewnianych sandałach na bosych nogach i ubiorze pod względem estetycznym wiele zostawiającym do życzenia.

Przybyłem poraz pierwszy do Ruszczuku w chwili przygotowującej się tam jakiejś uroczystości narodowej.

Ojcowie owego, najeżonego jeszcze niedawno tysiącami paszcz działowych, grodu, radzili właśnie nad porządkiem i szczegółami urządzić się mającej manifestacji; do narady zawezwano francuskiego inżyniera, goszczącego już czas pewien w Ruszczuku.

Francuz zaimprowizował pochód, w którym miały uczestniczyć dziewice w bieli ubrane.

— *Mamiczki* (panny) — wołają przestraszeni bulgarzy — ależ w Ruszczuku niema takich panien!

— Niema? — pyta francuz zdziwiony.

— *Niama*, *niama* — odpowiadają jednozgodnie bulgarowie.

— Ha! — rzecze, nie tracąc fantazji Francuz — to wypiszemy je z Rumunji...

Jakoż tak się stało!

Nazajutrz statek parowy przywiózł cały ładunek zaproszonych *ad hoc* rumunek, a świetność uroczystości podniesioną została przez zastęp dziewic, których treny w kilkołokciowej długości wlokły się imponująco po ziemi.

Niewola kobiety bulgarskiej odbija się w jej sposobie życia, w jej zachowaniu, a nawet we wszystkich zwyczajach narodowych.

Małżeństwo następuje w skutku układu familijnego; młodzi, poprzedzeni muzyką obchodzą uroczyście całą wieś lub miasteczko, a wesele przeciąga się zwykle dni kilka.

W jakiejś wiosce bulgarskiej, w karczmie, w której chwilowo zatrzymać mi się wypadło, spotkałem nowopobraną parę.

Nie zdążyłem jeszcze siąść na ławie, kiedy oblubienica trzymając w ręku miskę z wodą i ręcznik haftowany, sięgnęła mi do nóg, chcąc zdjąć obuwie.

Zdziwiony niepomiernie odtrąciłem kobietę i cofnąłem energicznie nogi.

Objaśniono mię dopiero, iż jestto zwyczaj narodowy, który uszanować należy!

Nowo zamężna myje gościom nogi, na znak służebnictwa jakie u swego męża przyjęła; naturalnie ceremonja, jak zawsze, kończy się datkiem, do złożenia którego nieznany gość jest obowiązanym...

W Tyrnowie, Ruszczuku, Sistowie i wszystkich znaczniejszych centrach, skupiających w sobie inteligentniejsze klasy narodu bulgarskiego, życie odznacza się dziwną prostotą, graniczącą niemal z dzikością; kobieta jest zawsze na planie drugim, podrzędnym, nikt się nią nie zajmuje, nikt się o nią nie troszczy, gdyż obowiązkiem jej stosować się do mężczyzny i jemu całkowicie ulegać.

Starsze kobiety nie przyjęły stroju europejskiego; po dziś dzień noszą na głowie rodzaj czółka, używają tylko narodowego języka i patrzą z niedowierzaniem na każdego cudzoziemca.

Pomimo nienawiści plemiennej, we wszystkich objawach zmiękczonych obyczajów przebija cywilizacja wschodnia: mieszkania wyłożone są gdzieniegdzie na sposób turecki dywanikami — stołki bywają inkrustowane perłową konchą, a główny traktament gości stanowi kawa na sposób turecki przyrządzona.

Spotykają się też czasami choć rzadziej i obyczaje rumuńskie.

Do rzędu ostatnich należy taniec ludowy, dosyć powszechnie w Bulgarji przyjęty.

Zwie się „*hora*“...

„*Hora*“ jest tańcem nawskróś poetycznym, namiętnym, zdolnym zapalić i pociągnąć najobojętniejszego widza — taki nosi charakter w Rumunji.

Jak czardasz węgierski taniec ten jest chwilami smutny, marzący — chwilami wesoły.

Wdzięk rumuńskiej dziewczyny ma w niem szerokie pole do popisu.

Zgrabna, ślicznie obuta jej nóżka, wiotka kibić w powiewnym tańcu nabierają nowego powabu — u bulgarek „*hora*“ przechodzi w proste tupanie, zatracając całą swą estetyczną stronę.

W Rumunji tańczą „*hora*“ mężczyźni zawsze na współ z kobietami, w Bulgarji częściej tańczą ją sami mężczyźni i same kobiety.

Słyszałem takich, co z podziwem mówili o moralności bulgarek...

Gdy obserwuję jednak moralność tę bierną, której źródło spoczywa nie we własnem przekonaniu, nie w poczuciu godności niewieściej, ale raczej w strachu jakim ją przejmuje sama myśl o mężu i władcy, jest ona w oczach moich tylko odbiciem rygoru haremowego i traci całą swą wartość.

Że stosunek, jaki dziś istnieje, mężowie bulgarscy przez egoizm i samolubstwo będą się starali długo jeszcze utrzymać, o tem wątpić nie można; ale jakim modyfikacjom i zmianom ulegnie on w przyszłości, skoro kobieta dojdzie tam raz do pewnego wyzwolenia się z pęt narzuconych — pytanie to nie łatwe do odgadnięcia.

Nie chcę być złym prorokiem, mam jednak to przekonanie, że na drodze fałszywej emancypacji i rozluźnienia obyczajów, niewiasty bulgarskie prześcigną prędko rumunkę — chyba że na tej pochyłości zatrzyma je tylko własna fizyczna szpetota.

Tak zresztą sądzić każe kierunek skrajno materjalistyczny, któremu naród bulgarski od pierwszych dni swego młodocianego życia już całkowicie ulega.

Bezstronność dziennikarska każe mi nakoniec dla należytego wyświetlenia sprawy nadmienić, iż wszystko, com powyżej mówił o kobiecie bulgarskiej, stosuje się jedynie do bułgarek zamieszkujących przestrzeń pomiędzy Dunajem a Bałkanami i że w opisie moim nie dotknąłem obyczajów rumeljotów, których charakter narodowy, o ile ogólna wieść niesie, różni się całkowicie od charakteru bulgarów przedbałkańskich.

Ig. Ch.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.